

W tym samym czasie w innym kraju mała dziewczynka popłakiwała cichutko. Ania, jej koleżanka szkolna, wyśmiewała się z niej, mówiąc:

— Zosia ma tylko swojego tatę. Prawdopodobnie jej mama była pijaczką, która zmarła po pewnym czasie.

— A może była prostytutką? — dorzuciła ze złośliwą satysfakcją Valentine.

Słyszając to Zosia, obrażona odwróciła się od nich i wróciła sama do domu.

Lecz tak właściwie to nic nie wiedziała o swojej mamie. Jej tata nigdy nie chciał z nią rozmawiać na ten temat. Jak tylko chciała się czegoś dowiedzieć, ojciec mówił, że jest zajęty, że później porozmawiają, że teraz nie ma czasu. I nigdy tak w gruncie rzeczy nie dowiedziała się od niego, co się stało z mamą. W nocy w snach często wydawało się jej, że ją widzi jako piękną kobietę o jasnoniebieskich oczach, która bierze ją za rękę, przytula do siebie i opowiada jej dziwne, niestworzone historie. Czasami gładzi ją po głowie, po jej kręconych włosach, i mówi po cichu do ucha: „Bardzo cię kocham”. Były to jej najpiękniejsze sny, o których długo nie mogła zapomnieć. Lecz zdarzało się też, że miała sny pełne grozy, strachu, były koszmarami. Rano po takiej nocy budziła się, drżąc jeszcze na całym ciele i myśląc: „Kim jest moja mama i czy ona jeszcze żyje?”.

Jej tata wszedł do domu i po chwili usłyszała, jak ją woła:

— Zosiu, gdzie jesteś?! Mam dla ciebie dobrą nowinę!

Wrócił dzisiaj wcześniej. Na jego twarzy widoczny był uśmiech. Widząc Zosię jeszcze zapłakaną, od razu wziął ją w swoje mocne ramiona.

— Co ci jest, córeczko? Co się stało, że jesteś taka smutna?

— Tato, dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć o mamie? — zapytała.

Mocne objęcia taty rozluźniły się, a jego twarz spoważniała.

— Później o tym porozmawiamy — odparł i zamyślił się głęboko.

Przed oczyma stanęły mu obrazy z niedawnej przeszłości. Nie, jeszcze za bardzo go raniły, aby o tym wszystkim mógł spokojnie rozmawiać z córką. To dlatego, aby o tym wszystkim zapomnieć, wyjechał przecież do innego kraju. Z drugiej strony wiedział, że Zosia ma prawo wiedzieć, gdzie jest jej mama i co się z nią dzieje... Machinalnie sprawę znowu odłożył na później. „Jeszcze nie dzisiaj, może jutro, tak, na pewno jutro jej powiem” — postanowił.

— Tato, a o jakiej dobrej nowinie chciałeś mi powiedzieć? — zapytała Zosia, ocierając łzy.

— Jedziemy na wakacje do Włoch! — odparł już z mniejszym entuzjazmem niż

z tym, z którym przed chwilą wkraczał do domu.

— A więc będę mogła wreszcie poznać moje kuzynki! — ucieszyła się dziewczynka.

Zosia marzyła już od dawna, aby poznać swoje czarujące kuzynki; znała je bowiem jedynie ze zdjęć, które co roku na święta od nich otrzymywała. Rozmawiała też z nimi parę razy przez telefon. Z początku trudno jej było je zrozumieć, bo mówiły z dziwnym akcentem i czasami wtrącały w rozmowę słowa całkowicie dla niej niezrozumiałe. Oczywiście była to rodzina ze strony ojca, zamieszkała we Włoszech. Dziadek Zosi ze strony ojca tam się urodził. Zosia nie znała ani słowa po włosku. Z drugiej strony, był to język ojczysty jej taty. Było to dziwne, lecz w gruncie rzeczy Zosia nie zastanawiała się nigdy nad tym poważnie. Dopiero właściwie teraz zaczęła stawiać sobie pytania: dlaczego jej ojciec nie rozmawia z nią nigdy po włosku, a przecież jest to jego język ojczysty, i dlaczego posyła ją do polskiej szkoły w Paryżu? Chociaż właściwie to bardzo lubiła tę swoją polską szkołę i ten język polski, którym rozmawiała tylko w szkole i w domach swoich koleżanek szkolnych, lecz naturalnie nie we wszystkich, bo na przykład w domu Valentine rozmawiało się po francusku, a to z uwagi na rodziców Valentine, którzy mieli korzenie polskie, lecz sami nie potrafili już swobodnie porozmawiać w tym języku. W gruncie rzeczy Zosia, która kochała bardzo swojego ojca, uważała, zastanawiając się od dłuższego czasu, że był on człowiekiem dziwnym, pełnym tajemnic. Czasami dostrzegała wzruszenie na twarzy taty, ale pytając o jego przyczynę, nigdy nie otrzymywała odpowiedzi. W jego pokoju nie było jej wolno ruszać wielu rzeczy. Owszem, ojciec wychowywał ją surowo, ale z miłością, i ona czuła jej ogrom.

Mieszkali na przedmieściach Paryża. Dom otoczony ogrodem miał urok letniej rezydencji. Na zewnątrz zwracał uwagę swoją malowniczością, co podkreślało jeszcze różnorodność zasadzonych drzew. Znajdowały się tu drzewa oliwkowe, kilka modnych we Francji małych drzewek japońskich z jasnofioletowymi kwiatami, wspinające się po murze ogrodzenia gałęzie winorośli, pięknie owocującej we wrześniu, choć owoce niestety były cierpkie o posmaku goryczy. Oczywiście w ogrodzie było także parę kwiatów o wysokich łodygach typowych dla wybrzeża atlantyckiego, a nie dla regionu paryskiego. Widać, że mieszkańcy lubili podróżować. Dom zaś swoją architekturą zaznaczał powinowactwa z ciepłym południem Francji, jak i z zakopiańskim stylem drewnianych domów.

Była sobota rano. Tata Zosi spał jeszcze w swoim pokoju. W nocy długo pracował

w swojej prywatnej kancelarii adwokackiej i teraz odsypiał godziny nadliczbowe.

Gdy zadzwonił telefon, Zosia podniosła słuchawkę.

— Marco, to ty? — usłyszała w słuchawce rażny kobiecy głos.

— Dzień dobry. To nie Marco, mówi Zosia, jego córka — grzecznie odpowiedziała Zosia, a w słuchawce zapadła głucha cisza, więc dziewczynka kilka razy powtórzyła: — Halo... halo...? — ale bez żadnej odpowiedzi, a osoba z drugiej strony po chwili odłożyła słuchawkę.

Zauważyła zdjęcie leżące na podłodze, tuż obok biurka taty. Przedstawiało ładną, pełną radości twarz kobiety. Spojrzenie tych pięknych i czułych oczu nie dawało jej spokoju. „Kto to może być?” — zastanawiała się, odkładając zdjęcie na biurko. „Nigdy nie widziałam tej pani. Kim ona jest dla mojego taty?” — myślała.

Instynktownie czuła, że nie jest to osoba przewrotna i powierzchowna, jakich wiele zdarzało się jej ojcu spotykać. Był on bowiem przystojnym mężczyzną i zajmował poważne stanowisko cenionego w Paryżu adwokata. Jeszcze raz Zosia wzięła do ręki zdjęcie. Spoglądała z niego kobieta, do której mogła mieć zaufanie. Zosia postanowiła wypytać o nią tatę. „Tym razem nie dam się zbyć, musi mi powiedzieć trochę więcej o swoich sprawach, które przecież dotyczą także i mnie. W końcu jestem jego córką”.

Marco Benetto tego dnia miał dużo pracy w swojej kancelarii, lecz w gruncie rzeczy myślami błędził zupełnie gdzie indziej. Z natury był człowiekiem pogodnym. Wychowany według dobrych zasad moralnych, kierował się w swojej trudnej czasami do pogodzenia z moralnością pracy resztkami etyki związanej ze swoim zawodem. Marco pracował i żył w Paryżu, lecz jego rodzina wywodziła się z Włoch, pochodziła z rodziny patrycjusza rzymskich, których druga wojna światowa porzuciła po różnych zakątkach świata. Oczywiście, niektórzy członkowie licznej rodziny pozostali we Włoszech. O swojej dzikiej, rozrywanej pasjami młodości myślał rzadko, bowiem rany były zbyt świeże i rozpamiętywanie sprawiało jeszcze więcej bólu. Los okazał się dla niego litościwy, zostawiając mu córkę, Zosię. Przez te dziesięć lat starał się być dla niej jak najlepszym ojcem. Wiedział doskonale, że brakowało jej matki. Toteż bardziej smucił się nad losem tego dziecka niż nad swoim. A przecież i jemu było ciężko żyć samotnie z dziewczynką u boku tak bardzo potrzebującą matczynej opieki. Przyjaciele, widząc ten stan rzeczy, chcieli, ażeby spotkał kogoś, z kim mógłby dzielić swoje smutki i radości; po prostu chcieli, żeby się ożenił, więc wynajdywali różne panie i namawiali go na spotkania z nimi, ale bez skutku; jakoś żadna nie chwyciła Marco za serce. Oczywiście były one jak najbardziej sympatyczne i pociągające, lecz żadna nie zdołała

wzbudzić w nim uczucia miłości. Coś w sercu Marco pękło wiele lat temu, a rana nie mogła się zasklepić.

Teraz zaś od paru już dni Marco cieszył się, że wyjedzie wkrótce do Włoch, do kraju, w którym się urodził i skąd wywodziła się cała jego rodzina. Wiedział też, że podróż ta sprawi radość Zosi, która pozna lepiej swoje kuzynki oraz zazna wreszcie tego głębokiego ciepła, jakie daje duża rodzina. Zbliżało się lato i długie wakacje dzieci. A może też i dla niego wszystko się zmieni na lepsze? Odpocznie w kręgu rodzinnym, zmieni pejzaż życiowy i może czarne myśli przestaną go już nawiedzać. A po drugie, naprawdę potrzebował odpoczynku od tego paryskiego życia na pokaz. Po prostu potrzebował wyjechać, odpocząć od swojej wyczerpującej pracy, od codziennego pośpiesznego rytmu, od tych ciągłych dojazdów pełnych korków przez paryską obwodnicę do swojej kancelarii adwokackiej — zmienić na jakiś czas codzienną rutynę.

Porządkując dokumenty ostatniej sprawy, którą zajmował się, natknął się wzrokiem na zdjęcie, które leżało na spodzie jego szuflady. Była to twarz, o której nie mógł przez tyle lat zapomnieć. Jego ręce zadrżały gorączkowo, a usta wyszeptały jakieś niezrozumiałe słowa. Czuł, jak jego serce zaczyna mocniej bić. Musiały go ogarnąć dziwne, sprzeczne uczucia, bowiem po chwili gorączkowo odsunął zdjęcie. „Zostaw mnie w spokoju” — wyszeptał.